

# Lech K. Paprzycki

---

## Mozambickie nadzieje

---

Palestra 38/12(444), 100-105

---

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Lech K. Paprzycki**

## **Mozambickie nadzieje**

Pierwsze demokratyczne, wielopartyjne, październikowe wybory w Mozambiku nie wzbudziły najmniejszego nawet zainteresowania w polskich środkach masowego przekazu. Podobnie było na południu Afryki. Nawet w prasie sąsiadujących państw: RPA, Swazi, Zimbabwe, Malawi i Tanzanii, jak mnie zapewniano, niewiele było informacji. W drodze powrotnej, w Johannesburgu czytałem gazety południowoafrykańskie, gdzie wiadomości z Mozambiku zamieszczono na dalszych stronach. Wydaje się jednak, że nie jest to brak zainteresowania sąsiadów tym, co dzieje się i dzieć się będzie w następnym okresie w tym najbiedniejszym kraju regionu, lecz z przekonania, iż ktokolwiek zwycięży: RENAMO czy rządzące postkomunistyczne FRELIMO i który z przywódców będzie prezydentem: A. Dhlakama albo J. Chissano – przyszłość pokoju w Mozambiku zależy od siły woli społeczeństwa, które nie powinno dać się wciągnąć w awantury polityków.

Do Maputo przylatujemy w niedzielę wieczorem 23 października. Z polskich parlamentarzystów jest Marszałek prof. Z. Kuratowska i poseł J. Rulewski. Inna grupa polskich posłów, która przebywać będzie w środkowych prowincjach: Tete i Manica przylatuje do stolicy Zimbabwe, Harrare. Zakwaterowani zostaliśmy w bardzo porządnie wyglądającym ośrodku kształcenia służb sanitarnych, położonym jednak w dzielnicy nędzy i skrajnego niedostatku, widocznych na każdym kroku. Nie mamy jednak czasu cieszyć się tym, jak na Mozambik, wręcz luksusem, gdyż o piątej rano już wybieramy się na lotnisko. W świetle poranka wszystko wygląda niezwykle biednie, w tym mieszczący się w bardzo zaniedbanym budynku sąd o numerze pięć – dzielnicowy – stołecznego miasta Maputo. To chyba lokal mieszczący kiedyś sklep. Otwarte tak wcześnie na oścież drzwi i brak okien zdaje się świadczyć o tym, że z sądu pozostała tylko tablica. Nie mam jednak możliwości dowiedzieć się, jak jest w rzeczywistości.

Udaję się do prowincji Nampula, prof. Z. Kuratowska do Cabo Delgado, a J. Rulewski do Zambezi. Lot na północ, przeszło 1000 km, z międzylądowaniem w Beirze, trwa prawie trzy godziny. Oba lotniska, w Beirze i Nampuli, a zwłaszcza pasy startowe, w dobrym stanie, przygotowane do przyjmowania największych samolotów. Te, jak i inne lotniska w stolicach prowincji, zostały zbudowane przez Rosjan w latach siedemdziesiątych, z przeznaczeniem zdecydowanie nie-cywilnym. Jednakże korzyść z tego, może jedna z niewielu, pozostanie na długie lata.

Do miasta niedaleko, ale w sumie minie kilka godzin zanim znajdę się w miejscu zakwaterowania. Jest to hotel „Nampula” i jak dowiaduję się z rozbitej częściowo

tablicy posiadał kiedyś dwie „gwiazdki”. Z całą pewnością było to bardzo dawno i już wówczas na wyrost. Teraz jest to „obraz nędzy i rozpacz”. Urządzenia prawie nieczynne, woda zimna o podejrzanej jakości tylko od czasu do czasu, ściany nie malowane chyba od wzniesienia hotelu, podłoga dawno nie sprzątna, światło ledwie się tli, a w sumie wszystko szare, brudne i smutne.

Natomiast samo miasto robi dużo lepsze wrażenie niż Maputo. Przede wszystkim nie jest zaśmiecone i prawie nie widać zdewastowanych, zniszczonych lub wypalonych domów. Była to od dawna prowincja zdominowana przez RENAMO, ale z tego widać, że stolica prowincji nigdy nie została opanowana. Dziś Nampula wygląda jak polskie miasto powiatowe z początku lat sześćdziesiątych. Jest tu wiele obiektów użyteczności publicznej, w tym szpital, hala sportowa i kilka innych, które miały zaświadczać o nowej władzy i przydawać splendoru miastu. Obiekty pozostały, większość, przy bliższym oglądzie, w bardzo kiepskim stanie i nawet na terenie szpitala składającego się z szeregu pawilonów, ruchu nie widać. Zresztą dwie dostrzeżone w mieście apteki półki miały dość puste. Większość sklepów, zapewne państwowych, ma to samo, skromne zaopatrzenie, a ceny, urzędowe, jak na miejscowe warunki, niezbyt niskie. Nie brakuje jednak „nowego”. Kilka luksusowych sklepów oferuje nowoczesny sprzęt, w tym elektroniczny, pochodzący przede wszystkim z Azji Południowo-Wschodniej. Są też przedstawicielstwa zachodnich producentów samochodów, choć oferta ogranicza się do samochodów ciężarowych. Nie znaczy to, że nie ma zapotrzebowania na samochody osobowe i nowoczesne motocykle. W tych dniach widziałem kilka, z całą pewnością prywatnych, najnowszych modeli europejskich samochodów. Bez ryzyka popełnienia błędu powiedzieć można, że to przedstawiciele powstającej nowej „klasy średniej”, choć bez wątplenia wywodzący się z co najmniej „szarej strefy”.

Rzeczywisty obraz sytuacji ekonomicznej większości ludności dostrzec można na targowisku miejskim i cotygodniowym jarmarku na placu przed katedrą. Wówczas okazuje się, że zapotrzebowanie jest na niewielką ilość podstawowych warzyw, prymitywnie spreparowany tytoń, proste posiłki serwowane ze średniej wielkości kociołków (ryż z jakimś nieokreślonym sosem), suszone kilkucentymetrowe rybki i te większe, wszystko o podejrzanym zapachu. Do tego kilkanaście budek z różnymi towarami spożywczymi i drogerijnymi, zagranicznego pochodzenia, o wyglądzie dość przyzwoitym. Przed katedrą sprzedawców i kupujących tłumy. Tu przeważa sprzedaż odzieży, rozkładanej wprost na ziemi, o kroju niewymyślnym i materiałach lichutkich. Ponadto kilka rodzajów narzędzi rolniczych – przeważają motyki z materiałów odpadowych, trochę prostego sprzętu domowego, jakieś proste zabawki, trochę mebli i wyroby rzemiosła ludowego, z drewna i muszli – te ostatnie z wyraźnym przeznaczeniem dla kilkuset przebywających teraz obserwatorów międzynarodowych organizacji. Tu właśnie „dopada” mnie „amigo Alberto”, siedmio-ośmioletni chłopak, który nie zważając na mój sprzeciw staje się moim przewodnikiem i pomocnikiem. Nie pozwala zbliżyć się do mnie innym swym kolegom, doradza, zachwyca się zakupami, wrywa mi niezbyt ciężką torbę. Przy

wyjściu z targowiska otrzymuje zapłatę, chyba wyższą niż zazwyczaj i może właśnie dlatego nie „porzuca” mnie, a zakupy niesie aż do hotelu. Nigdy już nie spotkam „przyjaciela Alberto”, ale przypuszczam, że da sobie radę w życiu, co w Mozambiku jeszcze długo będzie bardzo trudne. Wszędzie widać dziesiątki, wręcz setki dzieci wyciągających ręce i nie mniej zajętych sprzedawaniem czegokolwiek, zarówno tu, w stolicy prowincji, jak i wszędzie, gdzie spotykaliśmy skupiska ludzkie.

**W** dniu przyjazdu do Nampuli prowincjonalny koordynator AWEPA (Stowarzyszenie Parlamentarzystów na Rzecz Afryki Południowej) i ja jako przewodniczący delegacji odwiedzamy przewodniczącego prowincjonalnej komisji wyborczej, informując go o naszych zamierzeniach. Potem dzielimy się na dwuosobowe zespoły, które udadzą się do poszczególnych dystryktów. Jesteśmy wyposażeni w angielski tekst ordynacji wyborczej, krótki komentarz do niej oraz formularze, w których dokumentować będziemy naszą pracę. Niestety nie ma szczegółowych map z zaznaczeniem miejsc, gdzie znajdować się będą poszczególne komisje wyborcze.

Z Bertem Koendersem, Holendrem, „zawodowym” współpracownikiem organizacji międzynarodowych, znającym język portugalski, mieliśmy obserwować wybory w samej Nampuli, a także w dystryktach: Mecuburi, Meucate i Rapale. W celu zorientowania się, jak wyglądają przygotowania w terenie, w przeddzień dwudniowych, a jak się później okazało trzydniowych wyborów, wybraliśmy się do Mecuburi.

Po długiej i uciążliwej podróży wynajętym landroverem wjeżdżamy w zabudowaną, które okazują się dystryktowym miastem – wsią Mecuburi. Żadnego urzędowego budynku nie widać, a jedynie pozostałości szerokiej wiejskiej drogi rozdzielonej resztkami niskiego kamiennego murku, kikuty latarni, sklep z salką jadalną, jeszcze kilka budyneków i dalej gliniano-słomiane chaty. Odnajdujemy miejsce składowania pojemników z wyposażeniem komisji wyborczych. Jest to murowana szopa, zamknięta, pilnowana przez trzech zaspanych policjantów w zdekompletowanych mundurach. Pierwszy raz widzimy metalowe skrzynie przygotowane w całości przez Wspólnotę Europejską, co przypominają wyraźne napisy. Jest już późne popołudnie, jednakże nic nie wyeksponowano w teren, gdyż nie otrzymali z Nampuli obieganego samochodu. Nie pozostaje nam nic innego, jak zabrać trzy takie skrzynie wraz z policyjną eskortą, z przeznaczeniem dla trzech komisji, których siedziby będziemy mijać w drodze powrotnej. Przewodniczący komisji dystryktowej zapewnia nas, że rano wszystko co trzeba będzie na miejscu.

Już po zmroku wracamy do Nampuli, po drodze wyprzedzając pociąg zdążający do Nakali nad Oceanem Indyjskim. Przeważają wagony towarowe. Dwa ostatnie z otwartymi do połowy wysokości drzwiami. Przedostatni ma te okna zasłonięte drewnianymi kratami. Tu jadą zwierzęta. W ostatnim, bez krat – ludzie. Nie wydają się pokrzywdzeni „klasą” wagonu. Są uśmiechnięci, machają przyjaźnie rękami.

**W** pierwszym dniu wyborów, 27 października, trzeba było być w pierwszej komisji wyborczej przed jej otwarciem. Chodziło o skontrolowanie prawidłowości wstępnych czynności. Znow jesteśmy na drodze do Mecuburi.

Wkrótce docieramy do sporej wsi, gdzie w środku stoi kilka sporych chat o niewiadomym, na co dzień, przeznaczeniu. Są tu siedziby czterech komisji wyborczych – każda przeznaczona dla 1000 wyborców, którzy w tym samym miejscu zostali zarejestrowani kilka miesięcy wcześniej i otrzymali karty identyfikacyjne foliowane, ze zdjęciem. Jest bardzo dużo ludzi oczekujących na rozpoczęcie wyborów. W czterech grupach pomocniczy członkowie komisji ze specjalnych bloków wydają kolejne numerki wyborcom, którzy natychmiast ustawiają się w kolejki, oddzielne dla kobiet i mężczyzn, a reszta, z „wyższymi” numerkami, siada pod rozłożystymi drzewami, gdyż poranne chmury znikają i zaczyna robić się gorąco.

Wchodzimy do jednego z „lokalii”, który okazuje się być glinianym pomieszczeniem o powierzchni co najwyżej 20 m<sup>2</sup>, w którym wszystkie potrzebne osoby i my dwaj z Bertem mieścimy się z trudem. Wewnątrz światła niewiele, a przez niewielkie okna zaglądamy ciekawscy. Cały sprzęt techniczny jest już przygotowany, członkowie komisji obecni – właśnie przystępują do sporządzania dokumentacji otwarcia. Od razu widać, że są dobrze przygotowani, choć pierwsze czynności urzędowe wykonywane są powoli i głosowanie zaczyna się prawie z godzinnym opóźnieniem. Pierwsi głosują członkowie komisji w liczbie pięciu, potem ochraniający z odległości co najmniej 300 m policjanci, a potem reszta wyborców.

Głosowanie jest dość proste, ale i wyborcy szczególnie, nie tylko w większości analfabeci, ale przede wszystkim pierwszy raz uczestniczący w demokratycznych wyborach, przypuszczam, bez specjalnego zrozumienia, czym jest demokracja i jaki jest mechanizm powstawania wyników wyborów.

Każdy wyborca otrzymuje dwie karty do głosowania. Na pierwszej kandydaci na prezydenta. W oddzielnych rubrykach: nazwisko, symbol partii, którą reprezentują, dalej wizerunek kandydata i spora kwadratowa przestrzeń na postawienie znaku długopisem lub na odcisk palca. Na drugiej karcie, dla wyborów parlamentarnych: nazwy partii czy koalicji, symbole i „kratka” do głosowania.

Czynność „obsłużenia” jednego wyborcy jest dość czasochłonna. Zaczyna się od sprawdzenia przed wejściem, czy wyborca należy do tej komisji, czy ma kartę identyfikacyjną i kolejny „numerek”. Po podejściu do przewodniczącego komisji pokazuje dłonie z obu stron dla stwierdzenia, czy nie ma śladów czerwonego atramentu, co dowodzi, że już głosował. Potem przewodniczący prosi o kartę identyfikacyjną, którą głośno odczytuje i przekazuje swemu zastępcy, który też ją głośno odczytuje i w rejestrze zarejestrowanych w tej komisji wyborców odnotowuje fakt głosowania. Następnie przewodniczący wydiera z dwóch bloków karty wyborcze, pokazuje jak muszą być złożone i objaśnia sposób głosowania. Wręcza rozłożone karty wyborcy i kieruje go do wolnej kabiny wyborczej. Wyborca wraca stamtąd ze złożonymi kartami, które wrzuca do dwóch oddzielnych urn: dla wyborów prezydenckich i parlamentarnych. Podchodzi do kolejnego członka komisji, który do połowy zamacza jego wskazujący palec prawej ręki w czerwonym atramencie, który zasycha w ciągu 30 sekund. Dopiero wtedy zwraca się kartę identyfikacyjną i wyborca wychodzi. Tylko inwalidzi bez rąk lub nie władający rękami, a także

niewidomi mogli korzystać z pomocy przy głosowaniu, której udzielać mogły tylko inne osoby uprawnione do głosowania, nie będące członkami danej komisji.

Obserwowaliśmy przebieg wyborów w dziesiątkach komisji wyborczych, zarówno tych „wielkomijskich” w Nampuli, jak i tych w głębokim buszu, gdzie nawet Bert, dobrze władający portugalskim, nie mógł się porozumieć nie tylko z wyborcami, ale nawet z członkami komisji. Różna była sprawność komisji, różna pewność w zachowaniu wyborców. Okazało się jednak, po sprawdzeniu wyników, że procent głosów nieważnych, wynikający z błędnego wypełnienia kart do głosowania był stosunkowo niewielki.

O ile przez cały pierwszy dzień wyborców nigdzie nie brakowało, to następnego dnia, koło południa, tylko w kilku miejscach widzieliśmy oczekujących. Z rejestrów pozostałych komisji wynikało, że byli już wszyscy, na których można było liczyć. Stąd wymuszony przez RENAMO trzeci dzień wyborów był zupełnie niepotrzebny, a komisje w wielu wypadkach spędziły go bez posiłków i z ostatnimi resztkami wody.

Nigdzie, przez te trzy dni wyborów, nie dostrzegliśmy uchybień w przeprowadzeniu wyborów, które mogłyby mieć jakikolwiek wpływ na ich wynik.

Przedłużenie wyborów o jeden dzień wprowadziło pewne zamieszanie. Brak komunikacji spowodował, że nie do wszystkich ta wiadomość dotarła i również w prowincji Nampula nie były odosobnione wypadki przystąpienia do liczenia głosów po 6.00 wieczorem drugiego dnia wyborów. Z kolei trzeciego dnia, gdy wiadomo było, że już nikt i tak nie przyjdzie, niektóre komisje zaczęły liczenie przed 6.00. Inne nie dysponując światłem dokonały otwarcia urn dopiero w niedzielę rano. Wszystko to nie wzbudzało sprzeciwów, gdyż działo się nie tylko w obecności wszystkich członków komisji wyborczych, ale także w obecności przedstawicieli partii politycznych.

Z dużym zainteresowaniem obserwowaliśmy liczenie wyników. Czynności znów dość proste, ale zajęły, z reguły, wiele godzin. Każda karta musiała zostać rozłożona, zinterpretowana na głos przez dwóch członków komisji, okazana wszystkim obecnym i położona na właściwym miejscu. Tym razem okazało się, że wszystkie prawie komisje miały kłopoty z prawidłowym ustaleniem głosów nieważnych. I to po doświadczeniach w Angoli, gdzie rzecz ta ujawniła się jaskrawo. Prawo wyborcze problematykę tę rozstrzygało jednoznacznie: jeżeli znak wyborcy znalazł się poza specjalną „kratką”, ale wola wyborcy była niewątpliwa, to głos należało uznać za ważny. Tak się jednak nieszczęśliwie stało, że instrukcja opracowana na użytek komisji, w dziale poświęconym głosom ważnym, nie zawierała rysunku dotyczącego takiej sytuacji. Choć było to oczywiste, jako obserwatorzy nie mogliśmy interweniować. Tylko w odosobnionych wypadkach spotykało się to z protestami przedstawicieli partii i tylko te karty trafią do ostatecznej weryfikacji w Maputo.

Wyniki wyborów zostaną ogłoszone 13 listopada. Kto zwycięży? Nie wiadomo. Należy liczyć się z tym, że FRELIMO. Co to wróży na przyszłość? Też nie wiadomo. Jak się zachowa RENAMO? Czy powstanie rząd pojednania narodowego? Kto będzie rządził w prowincjach? Znaki zapytania muszą pozostać.

Nadzieją jest powszechne pragnienie pokoju, chyba prawie wszystkich Mozambijczyków. Może zrozumieli to politycy. Awanturnicy nie mogą liczyć na żadne z sąsiednich państw, a próba wzniecania niepokoju spotka się z powszechnym potępieniem wspólnoty międzynarodowej. Chyba politycy uświadamiają sobie to, że na wojnę w Mozambiku nikt już nie da pieniędzy.

Nie napawa optymizmem obserwowanie codziennego życia Mozambijczyków, lecz pogodny jest obraz dni świątecznych. Pomimo powszechnego niedostatku, w czasie wyborów, ale też w innych dniach, nawet w najdalszych okolicach, kobiety, choć ubrane skromnie, to jednak były zadbane, kolorowe i bardzo często uśmiechnięte. Podobne wrażenie odniosłem przyglądając się ludziom w katedrze w Nampuli w czasie porannej mszy. Biali bardzo nieliczni, dużo dzieci. Msza długa, kazanie blisko godzinę, ale śpiewy jakże charakterystyczne. Treści na pewno religijne, ale rytmy, prowadzenie i bębny jednoznacznie afrykańskie. Po mszy odprawiający ją ksiądz przed kościołem żegnał dziesiątki ludzi, a potem wraz z dwiema zakonnicami włączył się do zaimprovizowanego tańca i śpiewu. Dopiero później dowiedziałem się, że był to miejscowy biskup – Portugalczyk.

Przyszłość Mozambiku jest bardzo niepewna. Zdarzyć się może wszystko. Obecny stan jest bardzo przygnębiający, ale nadzieja pozostaje, zwłaszcza wśród tych tysięcy ludzi przybyłych z całego świata, którzy od dwóch lat wkładają niemało wysiłku w to, by od Maputo do granicy z Tanzanią znów toczyło się normalne ludzkie życie.